

ANNA ONICHIMOWSKA

Duch starej kamienicy

ilustrowata Aneta Krella-Moch





Anna Onichimowska
Duch starej kamienicy

© by Anna Onichimowska
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje: Aneta Krella-Moch
Korekta: Lidia Kowalczyk

Wydanie XV

ISBN 978-83-7672-207-8

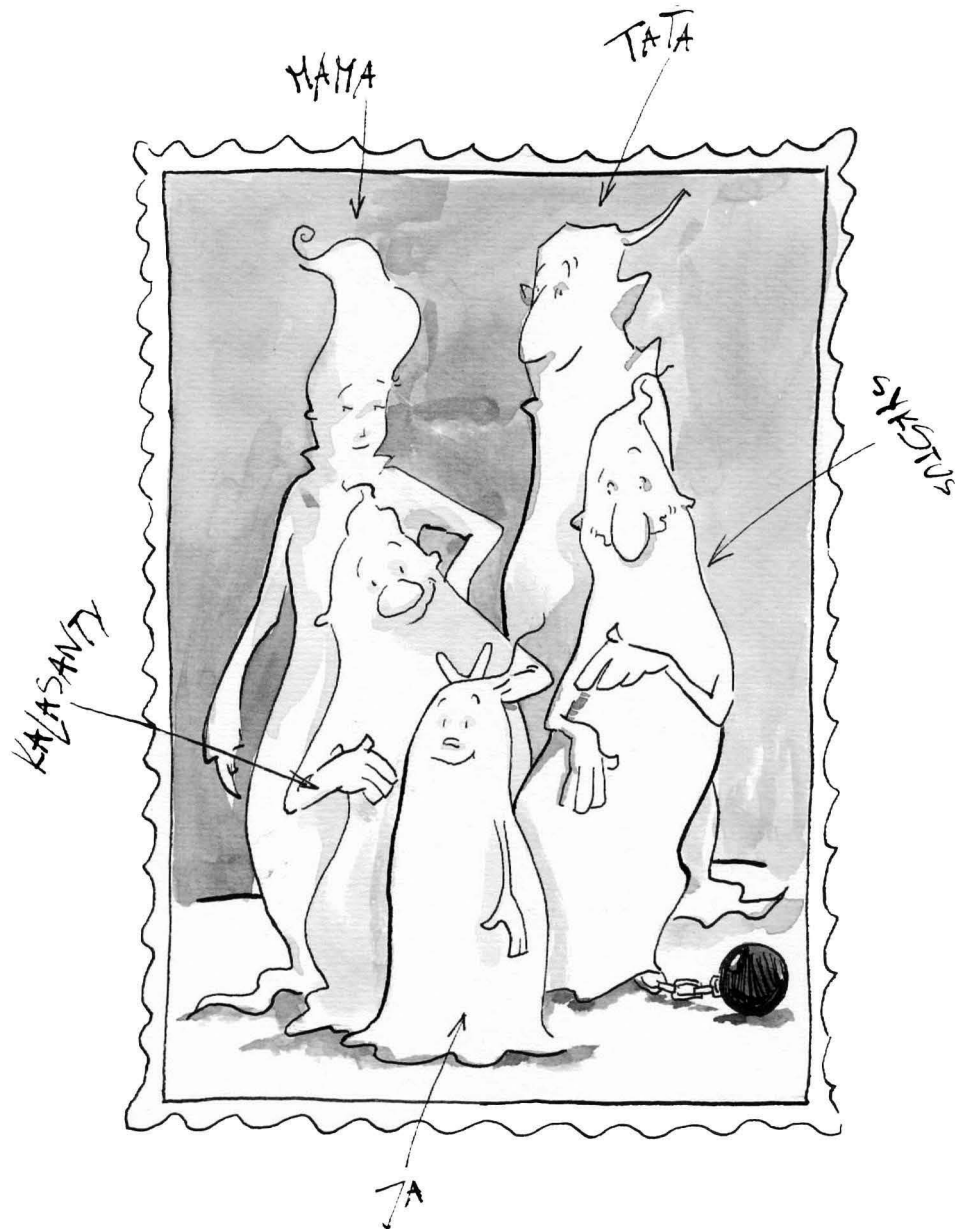
Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2016
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
faks (42) 632-30-24
www.wyd-literatura.com.pl



Mam na imię Maciek

Mam na imię Maciek. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie to, że jestem duchem. A duchy przeważnie noszą imiona bardziej osobliwe. Mój ojciec na przykład nazywa się Oktawiusz, a matka Porcja. Mam także dwóch braci – Sykstusa i Kalasantego. Są ode mnie sporo starsi. Ja byłem najmłodszym dzieckiem i – zdaniem mojej rodziny – najbardziej niewydarzonym. Nigdy nie lubiłem nikogo straszyć, łańcuchy obcierały mi pięty, a kula u nogi wydawała się czymś zbędnym i w najwyższym stopniu kłopotliwym. Od wydawania przeraźliwych dźwięków bolało mnie gardło, a od przewracania oczami dostawałem zapalenia spojówek. Ale w końcu nie wszystkie duchy muszą być takie same. Przynajmniej ja tak uważałem. Rodzina nie podzielała jednak mojego zdania i traktowała mnie jak odmieńca.

Z biegiem lat przepaść między mną a resztą rodziny pogłębiała się. Nie wspominałem o najbardziej wstydlivej sprawie – to znaczy wstydlivej nie dla mnie, przyzwyczailem się już do swojej postury – ale to ona przelała, jak się zdaje, czarę goryczy



moich najbliższych. Otóż, wyobraźcie sobie, w wieku dwóch lat przestałem rosnać. Zważywszy, że liczę sobie w tej chwili lat sto dwadzieścia (co nie jest zresztą dla ducha wiekiem podeszłym), powiedzmy sobie szczerze – jestem niewielkiego wzrostu.

Kamienica, w której mieszkam, była moim domem od dnia narodzin. Jest jeszcze starsza ode mnie – rodzina przeprowadziła się do nowo wybudowanego domu zaraz po narodzinach mojego średniego brata – Kalasantego. Czyli ma około stu czterdziestu lat. Dla pięciu osób metraż był jednak zbyt skromny, tym bardziej że reszta rodziny jest słusznego wzrostu i ceni sobie przestrzeń życiową – obszerne strychy, rozległe podziemia, długie, najlepiej kręte schody, a mama – nie ma co ukrywać – zawsze marzyła o jakiejś porządnej wieży.

Bracia odeszli, kiedy nie miałem skończonych dziesięciu lat. Nie widziałem ich od tej pory. Rodzice zostali jeszcze ze mną parę lat, chociaż widziałem, że było to dla nich duże poświęcenie. W końcu jednak, po wprowadzeniu się do naszej kamienicy nowej dozorczyńi, mama spakowała całuny, wyściskała mnie i poszybowała wraz ze swym mężem Oktawiuszem gdzieś w nieznane. Była energicznym duchem rodzaju żeńskiego i sądzę, że znalazła wieżę, na którą wpędza mojego starego ojca o północy, siejąc popłoch wśród okolicznej ludności.

Tyle z historii rodziny. Sądzę, że nie będę już wracał do tego tematu, zważywszy, że to jednak zamierzchnia przeszłość (sto lat z górą), no i że, niestety, od tych stu lat nie otrzymałem od nich żadnej wiadomości.

Mieszkam na strychu. Energia dozorczyńi wyczerpała się na szczęście na porządkowaniu trzeciego piętra. Strych pozostał

właściwie taki, jak za czasów moich rodziców. Przybyło tylko jeszcze na nim wiele interesujących przedmiotów. Tak jakoś dziwnie się składa, że nikt z lokatorów nie może się do końca zmieścić w swoim mieszkaniu. Każdy przynosi coś na górę. I tak przybywa mi mebli, a ubywa przestrzeni życiowej. Ale jestem w końcu bardzo małym duchem i nie muszę mieć jej wiele. Tak czuję się dużo przytulniej. No i mam właściwie wszystko, co jest potrzebne, i wszystko, co jest niby niepotrzebne, ale przecież zawsze – nigdy nie wiadomo kiedy i po co – może się przydać.

Po pierwsze i najważniejsze: mam wielki pluszowy fotel. Ma co prawda dziurę, z której wychodzi włosie, ale to właśnie bardzo dobrze.

W zimowe śnieżne noce za-
grzebuję się w nim po uszy, żeby nie słyszeć hulającego wiatru i nie czuć latających po podłodze strumyków zimnego powietrza. Już od dzieciństwa miałem skłonność do reumatyzmu.

Po drugie: mam dwa drewniane stołeczki i jedno miękkie krzesło, kawałek szafy, łóżko żelazne bez materaca, kawałek lustra, umywalkę bez kranów, dwa wiadra (w tym jedno dziurawe), kufer z książkami, kilka walizek kobiecych sukien – niektóre (to znaczy niektóre



z sukien, nie walizek) mają nawet pióra i ogony! Wiecie chyba, jak wyglądają ogony u sukien? Nie są wcale podobne do ogonów żadnych zwierząt, po prostu suknia nie kończy się równo z ziemią, tylko dalej. Nie bardzo umiem lepiej to wytłumaczyć... No, taka suknia z tyłu ciągnie się i ciągnie za właścicielką, i potem jest już czysta podłoga.

Najbardziej lubię tę purpurową. Szkoda, że nie możecie jej zobaczyć. Ale spróbujcie sobie wyobrazić – jest z aksamitu (to taki mięciutki, puchaty materiał), ma wyszywane perłami róże, kilka falban, koronki i mnóstwo piór poprzyczepianych w rozmaitych miejscach. Do niej jest kapelusz z takiego samego materiału, z poukładanymi na wierzchu owocami i papugą. Oczywiście, te owoce są też z materiału i papuga jest zupełnie sztuczna. I pewnie dobrze, bo jakoś nie mam szczęścia do ptaków. Jeden z nich – taka czarna, złośliwa paskuda – mieszka nawet ze mną na strychu. Zaległa się u mnie już parę lat temu i wcale nie chce się wyprowadzić. Ma na imię Wiesława i jest sroką.

– Same kłamstwa! Jestem śliczna, mam anielski charakter i na imię Joanna!

– Cicho bądź! Nie wtrącaj się! To ja opowiadam! Nie słuchajcie jej, ona bez przerwy kłamie...

– Sam kłamiesz! Nikt ci nie uwierzy, że nie lubisz straszyć i że jesteś sympatyczny! Jesteś małym zasmarkanym niedołęgą! Zawsze chciałeś być straszny, tylko że jak zaczynałeś wyć, wszyscy pękali ze śmiechu... Głupi Maciek!!!

Uciekać. Czym prędzej uciekać! Uff, tu już jej nie słychać. Koszmarne ptaszysko. Oszukuje mnie bez przerwy. Kiedy mówi, że pada deszcz, prawie na pewno jest piękna pogoda. Ale, niestety, prawie. Bo jest bardzo sprytna. Dawniej, kiedy mówiła, że świeci słońce, od razu ubierałem się ciepło, zakładałem kalosze i brałem parasol. Teraz więc kłamie co drugie zdanie i nigdy nie wiem, które z nich jest prawdziwe. Najlepiej w ogóle jej nie słuchać, bo można dostać pomieszania zmysłów. Ja nawet sądzę, że ona już dostała. Od swojego własnego gadania. I że czasem sama nie wie, kiedy mówi prawdę, a kiedy kłamie. Wszystko jej się pomieszało. Kto wie, może ona naprawdę myśli, że ma na imię Joanna?



Wiesława, Prot i śliwki

Jesienne słońce jest dobre na wszystko – tak sobie myślałem, leżąc na dachu i łapiąc siwe włosy babiego lata. Jak przyjemnie... I ptaki już odlatują... Może wreszcie Wiesława wybrałaby się gdzieś do ciepłych krajów... – marzyłem, wsuwając do ust kolejną dojrzałą śliwkę węgierkę. Pycha...

Dla ducha mojego wzrostu trzy kilo śliwek to nie bagatelka, jednak poradziłem sobie z nimi i chociaż czuję się trochę ociężały, zjadłbym jeszcze kilka. Ale – co to? Coś pacnęło mnie w nos! A teraz w ucho! Oj, boli!!! Coś dziwnego – pestki same wyskakują z komina, jedna po drugiej... Zerwałem się na równe nogi, chociaż śliwki w moim brzuchu protestowały gwałtownie, i podszedłem ostrożnie bliżej, uchylając się przed atakami pestek. Zajrzałem w głąb. Kolejny celny pocisk trafił mnie prosto w oko.

– Cześć, Maciek! – usłyszałem głos któregoś z Protów. – Co robisz z głową w kominie?

– Sam zobacz – mruknąłem, usiłując rozpoznać jedynym zdrowym w tej chwili okiem który to. Sądząc z wyjątkowo potarganej sierści i nieco niechlujnego wyglądu, musiał to być Prot IV.

– Nie chce mi się – miauknął, podkreślając swoje słowa leniwym ziewnięciem. Rozciągnął się na słońcu w pozycji „zdechł kot” i zaczął cicho mruczeć.

Położyłem się obok niego. Ledwie zdążyłem pomyśleć ponownie, że jesienne słońce jest dobre na wszystko, mruczenie Prota IV przeszło w nagły miauk, a on sam zerwał się na równe łapy.

– Co się wygłupiasz?! – wrzasnął najwyraźniej do mnie, bowiem poza nami dwoma nikogo na dachu nie było.

– Nie krzycz na mnie! Oj, co ty robisz?! – poczułem się niepewnie z pazurkami Prota na mojej szyi. – To nie ja!

– A kto?! – pazurki Prota drgnęły ostrzegawczo.

– Nie wiem – powiedziałem, czując, że i tak mi nie uwierzy. – To są pestki – dodałem spiesźnie, mając wrażenie, że Prot zaczyna się denerwować.

– I lecą z komina. – Pazurki zeszyły na dach. Piekło mnie oko, bolał brzuch, kłuła szyja i już wiedziałem, że nie będzie to udane popołudnie. – O ile, oczywiście, o to ci chodziło – odezwałem się, żeby coś powiedzieć, zaległo bowiem niemiłe milczenie, a Prot wpatrywał się we mnie jakoś tak zbyt nieruchomo, poruszając jedynie koniuszkiem ogona.

– O to – powiedział po chwili.

– One są ze śliwek – poinformowałem go, jakby to mogło cokolwiek zmienić.

– Co? – Prot stał się dziwnie lakoniczny.

– One są ze śliwek – powtórzyłem nieco głośniejszym głosem.

– Nie jestem głuchy! – miauknął wściekle Rozzochraniec. – Pytałem się, co jest ze śliwek?!

Zdenerwował mnie trochę i już chciałem odpowiedzieć, że na przykład kompot, co mogłoby się źle skończyć dla mojej szyi, kiedy pomiędzy nami wylądowała kolejna pestka. Spojrzeliśmy

na siebie porozumiewawczo, zjednoczeni nagle żądzą zemsty.

W dwóch susach dopadłem kłapy wiodącej na

strych i otworzyłem ją gwałtownie. Oto co ukazało się naszym oczom: na stołku koło wylotu

komina stała Wiesława z procą. Obok niej piętrzył się okazały stos pocisków. Była bez reszty pochłonięta mocowaniem na gumce kolejnego naboju.

– Zjeść ją? – szepnęła Prot IV.

– Wiesławę? – bąknąłem z niedowierzaniem. Dach wokół nas aż dudnił od pocisków. Sroka szalała.

– Nie wiem... Może kiedy indziej – wykręcałem się. Ale Prot już mnie nie słuchał. Szykował się do skoku.



– Hej! – krzyknąłem, jak mogłem najgłośniejszy, bo nic lepszego nie przyszło mi do głowy, a każda sekunda była cenna. Wiesława odwróciła się w naszą stronę, napinając procę, ale na widok Prota wrzasnęła w popłochu, porzuciła broń i pognąła w głąb strychu. Straciliśmy ją z oczu.

– No i co zrobisz, łamago? – Prot spojrział na mnie z wyrzutem. – I tak ją kiedyś zjem, zobaczysz – dodał z pogroźką w głosie.

– „Umarł Maciek, umarł, już leży na desce” – dotarły do nas fałszywe pienia ulubionej piosenki Wiesławy.

– Kto wie, czy cię sam o to nie poproszę – powiedziałem ze smutkiem w głosie i, zatkawszy uszy walającymi się wszędzie po dachu pestkami, wyciągnąłem swoje stare kości w ostatnich już promieniach zachodzącego słońca.



Wieloryb

Jednym z ulubionych moich zajęć i chyba jedynym już sportem, jaki uprawiam, jest zjeżdżanie po poręczu. Pomaga mi to utrzymać dobrą kondycję i zachować smukłość – narażonej na tycie przez wiek i może nieco zbyt obfite posiłki, które czasem spożywam – sylwetki. Dzisiaj gnała mnie w dół nie tyle potrzeba ustanawiania rekordów szybkości, ile niepokojące głosy, które dochodziły aż na strych z korytarza na parterze.

– Niech już pani tak nie rozpacza – powtarzała w kółko nasza dozorczyńni, pani Guzdralska, do łkającej pani Kowalskiej spod piątki. – Wszystko się znajdzie, na pewno.

– Jak się znajdzie, skoro nie ma. Mówię pani: na stole zostawiłam dwa pierścionki i bransoletkę. Ze złota. Tylko z Filusiem na spacer wyszłam. Ile to mogło trwać? Pół godziny, nie więcej. Że też lichy mnie podkuśiło, żeby mieszkanie wietrzyć. Przez okno musiał się dostać, złodziej jeden.

Nie wierzyłem własnym uszom. Złodziej?! W mojej kamienicy?! Tego nie było, jak tu mieszkam sto dwadzieścia lat!

Powłokłem się na górę. Stałem w drzwiach strychu i aż się cofnąłem. Z zapartym tchem obserwowałem rozgrywającą